

Maciej Nowicki, Newsweek, nr 3/2019, 14-20.01.2019



Antyimigrancka demonstracja w Białymstoku. Na pierwszym planie Adam Andruszkiewicz, prezes Młodzieży Wszechpolskiej, styczeń 2016 r. Przez wiele lat Mosad w ogóle nie interesował się byłymi nazistami. W latach 60. mogli dwa razy dopaść Josefa Mengele i dwukrotnie postanowili zostawić go w spokoju - opowiada izraelski dziennikarz i znawca służb specjalnych Ronen Bergman

NEWSWEEK: Jak udało się panu napisać książkę ujawniającą kulisy działania służb Izraela? Dlaczego ludzie odpowiedzialni za najtajniejsze operacje w służbach specjalnych chcieli w ogóle z panem rozmawiać?

RONEN BERGMAN: Kiedy w 2010 roku podpisywałem umowę z Random House, wydawca zapytał, ile czasu potrzebuję na napisanie „Powstań i zabij pierwszy”. Powiedziałem, że rok. Wydawca pytał, czy może na wszelki wypadek nie wpisać do kontraktu półtora roku. Byłem nieugięty: „Po co, przecież oddam po roku” - odpowiedziałem. Napisanie książki zabrało mi

ostatecznie osiem lat i było niezwykle trudne. W pewnym momencie wydawca był przekonany, że nigdy jej nie dostanie. Kiedy w końcu dostarczyłem materiał, zadano mi to samo pytanie: „Dlaczego ci ludzie w ogóle chcieli z panem rozmawiać?”.

Odpowiedziałem, że ci, którzy uczestniczyli w śmiałych, tajnych i czasem kontrowersyjnych operacjach, chcieli wreszcie wyjść ze strefy mroku. Pragnęli, by opinia publiczna dowiedziała się, co zrobili, żeby chronić Izrael.

Ministerstwo obrony Izraela bardzo utrudniało panu zadanie.

- Robiono wręcz wszystko, żebym nie napisał tej książki. Włamano się do mojego komputera i założono podsłuch na moim telefonie. Starano się zastraszyć ludzi, z którymi rozmawiałem. Kiedy poprosiłem o dokumenty, które mają 50 lat lub więcej i zgodnie z prawem powinny zostać upublicznione, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Zwróciłem się więc do sądu najwyższego ze skargą, ale sprawa się ciągnęła i w końcu przyjęto poprawkę, na mocy której klauzulę tajności wydłużono do 70 lat, co stanowiło wówczas okres dłuższy niż cała historia państwa Izrael! Szef sztabu izraelskiej armii próbował nawet namówić prokuratora generalnego do wytoczenia mi procesu o zdradę. Stało się jednak na moim. Udało mi się dotrzeć do ponad tysiąca osób i ujawnić rzeczy, o których nikt wcześniej nie pisał, o których nie wiedziały nawet żony moich rozmówców.

Pisze pan, że w Libanie w latach 70. izraelskie służby dopuszczały się strasznych rzeczy. Nie obawiał się pan, że to zostanie wykorzystane przeciwko pana ojczyźnie?

- Pisząc o tym, co Izrael zrobił w Libanie w późnych latach 70., miałem łzy w oczach. Oczywiście są rzeczy, które postanowiłem pominąć, bo za nic nie naraziłbym bezpieczeństwa swojego kraju. Nigdy nie napisałbym o żyjących źródłach Mosadu, gdyż w ten sposób przyczyniłbym się do ich śmierci. Dlaczego jednak miałbym nie pisać o tym, że taka czy inna operacja się nie udała? To narusza w jakiś sposób prestiż Izraela, ale zadaniem dziennikarza nie jest obrona prestiżu własnego państwa. Tą samą zasadą kierowałem się, pisząc o sytuacjach, w których ktoś przekroczył swoje uprawnienia i w rezultacie popełnił zbrodnie wojenne. Oczywiście antysemita znajdzie w mojej książce dowód na to, że Żydzi są źli, ale oni wiedzą swoje i bez tego, co napisałem. Największą siłą Izraela nie jest wcale wywiad czy armia, lecz to, że jesteśmy jedyną demokracją w dżungli Bliskiego Wschodu i że potrafimy przejrzeć się w lustrze i zobaczyć, kim naprawdę jesteśmy.

Meir Dagan, były szef Mosadu i jeden z głównych bohaterów pana książki, uważał, że tajne zabójstwa są moralnie uzasadnione.

- Dagan był zdania, że Izrael powinien decydować się na konflikt zbrojny jedynie w przypadku absolutnej konieczności. Cud wojny sześciodniowej może się nie powtórzyć. Skrytobójstwa są nie tylko bardziej skuteczne, lecz także bardziej humanitarne niż wojna. Oczywiście powinna obowiązywać reguła, w myśl której niewinni cywile nie mogą ucierpieć. Niestety, izraelskie służby nie zawsze stosowały się do tej zasady. Historia Izraela potwierdziła jednak słuszność założenia, że w ostatecznym rozrachunku lepiej zneutralizować kilka osób, niż iść na wojnę.

Założenie, że nie należy zabijać cywili, brzmi bardzo szlachetnie, ale Izraelowi udało się np. zastopować irański program nuklearny właśnie dlatego, że zabijał irańskich naukowców.

- „Selektywna eliminacja” opłaciła się Izraelowi, bo miała dobre skutki dla naszego bezpieczeństwa. Niestety, Izrael zawsze płacił bardzo wysoką cenę za stosowanie tych środków.

Jaką?

- W wymiarze ludzkim i moralnym - ogromną. Człowiek, który bierze udział w zabiciu drugiego człowieka, zawsze za to płaci. Nawet jeśli ginie szatan we własnej osobie, coś umiera w człowieku, który dokonuje tego zabójstwa lub jest w nie wplątany. A Izrael znajduje się w wyjątkowej sytuacji, bo nasze bezpieczeństwo jest nieustannie zagrożone. W żadnym innym kraju program „selektywnej eliminacji” nie przyjął takich rozmiarów. W zabójstwa były wplątane dziesiątki tysięcy osób.

W dodatku izraelski wywiad - jak pan pisze - był w tym coraz bardziej skuteczny. Na początku zaplanowanie „selektywnej eliminacji” zabierało miesiące, dziś Mosad jest zdolny nawet do kilku takich akcji dziennie.

- Ta niebywała skuteczność stała się częścią problemu. Ludzie z naszych służb specjalnych mają poczucie, że są najlepsi na świecie. Tak jest zresztą naprawdę. Amerykański czy brytyjski wywiad jest świetny, ale Mosad i Szin Bet nad nimi górują. Choć nawet izraelskim służbom zdarzają się wpadki, to nie ma wątpliwości, że są wielką historią sukcesu. I ten sukces stał się wadą.

Dlaczego?

- Precyzyjne operacje mogą pomóc w bardzo wielu sytuacjach. Mogą ocalić niejedno życie. Mogą zapobiec zdobyciu broni nuklearnej przez wrogów Izraela. Mogą nawet zaradzić wielkiej fali zamachów, jak w czasie drugiej intifady, gdy Hamas przechwalał się, że ma więcej kandydatów na zamachowców samobójców niż kamizelek wybuchowych. Przywódcy Izraela doszli jednak do wniosku, że tajne operacje mogą niejako zatrzymać historię i że można zrezygnować ze wszystkich innych narzędzi używanych w demokracji: dyplomacji, negocjacji z przeciwnikiem itd. Wydaje im się, że wystarczy tylko wydać odpowiedni rozkaz. Dzięki służbom specjalnym Izrael odniósł spory sukces taktyczny, ale ten sukces doprowadził do strategicznej klęski. Zrezygnowano na przykład z prób szukania pokoju.

Trudno sobie wyobrazić zawarcie przez Izrael pokoju z ludźmi, którzy chcą to państwo unicestwić.

- Nie mamy innego wyboru. Premier Ariel Szaron czy Meir Dagan nie należeli do ludzi łagodnych - byli wręcz wzorcami tzw. jastrzębi. O Daganie mawiano, że jego specjalnością jest „oddzielanie Araba od głowy”. A jednak nawet oni w końcu zmienili zdanie. Pod koniec życia Dagan nie miał wątpliwości, że konieczne jest znalezienie pokojowego rozwiązania wspólnie z Palestyńczykami. Pisze pan, że izraelskie służby są niezwykle skuteczne.

A jednak przez wiele lat nie udało im się zabić wroga numer jeden - palestyńskiego przywódcy Jasera Arafata.

- Arafat był niezwykle ostrożny. Nieustannie zmieniał kryjówki i rozkład dnia. W dodatku miał bardzo dużo szczęścia. Był jeszcze jeden powód: Izrael trzymał się zasady, żeby nie zabijać przywódców politycznych i dzięki temu Arafat był nieraz zdejmowany z listy celów. Ariel Szaron w pewnym momencie wpisał go znowu na tę listę. Wydał nawet kilkakrotnie rozkaz, żeby

zestrzelić samolot linii cywilnych, którym leciał Arafat. Chciał też wysadzić w powietrze trybuny honorowe stadionu w Bejrucie. Te operacje zostały jednak zablokowane dzięki determinacji oficerów wyższego i średniego szczebla. Oficerowie nie kwestionowali decyzji, że Arafat powinien zostać zabity, ale uważali, że śmierć dziesiątek cywili jest nie do przyjęcia. Za każdym razem znajdowali sposób, żeby powstrzymać rzeź. Ci ludzie są dla mnie wielkimi bohaterami, bo odważyli się sprzeciwić obsesyjnemu ministrowi, a dzięki nim uchroniono od śmierci wielu Bogu ducha winnych ludzi. Jednak chyba w końcu Szaronowi udało się dopaść Arafata?

Czytając pana książkę, miałem wrażenie, że chciał być pan w tej kwestii dwuznaczny. Nie napisał pan wprost, że to Mosad zabił Arafata, pozorując chorobę jelit.

- W książce nie ma zbyt wielu detali dotyczących śmierci Arafata w 2004 roku. Nic więcej nie mogłem napisać. I nic więcej panu na ten temat nie powiem.

W pana książce nie ma też zbyt wielu szczegółów dotyczących polowań izraelskiego wywiadu na nazistów. Dlaczego?

- Ponieważ to jest mit. Przez wiele lat Mosad w ogóle nie interesował się byłymi nazistami. W latach 60. mogli dwa razy dopaść Josefa Mengele i dwukrotnie postanowili zostawić go w spokoju. O to, dlaczego tak się działo, zapytałem Meira Amita, jednego z szefów Mosadu. Wy tłumaczył mi, że wtedy trzeba było przede wszystkim myśleć o bezpieczeństwie Izraela, a wywiad miał ograniczone środki. Zamiast ścigać duchy przeszłości, szukać zemsty, trzeba było zapobiegać różnym zagrożeniom.

Z pana książki wynika, że Steven Spielberg w filmie „Monachium” bardzo podkreślił operację wymierzoną w palestyńskich terrorystów, którzy zamordowali izraelskich sportowców.

- W filmie Spielberga nic nie jest prawdziwe poza tym, że izraelscy sportowcy rzeczywiście zginęli. Premier Golda Meir wcale nie wydała rozkazu: zabijcie ich wszystkich. Nie było też tajnej rozprawy, w czasie której skazano wszystkich sprawców zamachu. Spielberg padł ofiarą oszusta, który przedstawił się jako szef akcji po Monachium, a w rzeczywistości nawet nie był w Mosadzie. Niedawno napisał pan, że Donald Trump zdradził Rosji tajemnice izraelskiego wywiadu. To brzmi szokująco.

- Wszystko zaczęło się jeszcze, zanim został prezydentem USA. W czasie jednego z rutynowych spotkań oficerów izraelskiego i amerykańskiego wywiadu Amerykanie zasugerowali, żeby w razie wygranej Trumpa Izrael przestał przekazywać ściśle tajne informacje Białemu Domowi. Obawiali się, że ktoś z otoczenia Trumpa, a może nawet on sam, może być szantażowany przez Rosjan. Izraelczycy byli zbulwersowani, bo nie mieściło im się w głowie, jak coś takiego można mówić o przyszłym prezydencie. A jednak kilka miesięcy po tym spotkaniu wszystko, przed czym ostrzegali Amerykanie, się spełniło. Prezydent Trump przekazał tajne informacje ministrowi Ławrowowi. Wiem nawet jakie, ale nie mogę nic więcej na ten temat powiedzieć. Tyle tylko, że te informacje mogą zaszkodzić funkcjonowaniu izraelskiego wywiadu.

Rok temu zapytał pan premiera Morawieckiego, czy w myśl nowej ustawy o IPN będzie pan ścigany, gdy przypomni, że Polacy wydali gestapo członków pana rodziny. Potem pana konto w mediach społecznościowych zalały dziesiątki tysięcy antysemickich wpisów. Sugerował pan, że to była skoordynowana akcja. Ma pan dowody?

- To była zorganizowana kampania. Tuż po całej akcji skontaktowałem się ze specjalistyczną firmą Cyabra, która przeanalizowała moje konta e-mailowe oraz profile na Twitterze i Facebooku. Otrzymałem raport, z którego jasno wynika, że padłem ofiarą akcji, użyto do niej tysięcy fałszywych tożsamości. Mogła zostać przeprowadzona tylko przez dobrze zorganizowaną grupę, dysponującą znacznym budżetem. Mogły to być np. wywiad lub agencja PR. Nie mam dowodów, że stał za tym polski rząd. Proszę się jednak zastanowić, kto miał interes, możliwości i pieniądze, żeby dokładnie w dzień po mojej rozmowie z premierem Morawieckim rozpocząć bardzo kosztowną antysemicką kampanię wymierzoną we mnie. Kampanię prowadzoną po polsku, przy użyciu tych samych botów co dwa tygodnie wcześniej wobec Yaira Lapida, który również krytykował ustawę o IPN? Bardzo chętnie przekażę ten raport. Mam nadzieję, że w końcu się dowiemy, kto za tym stał.

Leon Baranowski, Buenos Aires, Argentyna